

RECENZJE

TEATR

Wewnątrz koszmarnego snu

„Koniec” pokazuje zupełnie nową twarz Krzysztofa Warlikowskiego – pełnego gorzkich pytań introwertyka, który przechodzi smugę cienia

JACEK WAKAR

Warlikowskiemu nigdzie się nie spieszy. Najnowsze przedstawienie buduje z ciągnących się w nieskończoność sekwencji, kiedy na scenie z pozoru nie dzieje się nic. Autor „Końca” mówił przed tą premierą, że nie wystarczy mu już klasycznie konstruowana dramaturgia, tak zwana akcja kryje w sobie pustkę. Dlatego pewnie odszedł tym razem najdalej od tradycyjnie pojmowanego teatru. Krokiem na tej ścieżce była już „(A)pollonia” czytana jako manifest artysty, który w swym nowo powstałym Nowym Teatrze chce wachać czas, nie szukając jednak na scenie najbardziej oczywistych doraźnych odniesień. A mimo to tamtemu spektaklowi ciążyła przyjęta z góry teza mająca odwrócić zwyczajowe pojmowanie relacji katów i ofiar. Projektowany był z myślą o światowej publiczności i wielkich festiwalach, z Awinionem na czele. Miał więc być zrozumiały pod niemal każdą szerokością geograficzną, a co za tym idzie, pisał go Warlikowski – by tak rzec – wielkimi literami.

„Koniec” idzie w przeciwnym kierunku. Nie próbuje ogarniać szerokiej perspektywy, stając się w karierze artysty dziełem najbardziej osobistym, przez co być może też najbardziej hermetycznym. To nie jest łatwe nawet dla zagorzałych fanów artysty – całość trwa blisko pięć godzin, utrzymana jest w jednym, monotonnym, somnambulicznym rytmie. Wyjścia są dwa – zdobyć się na wysiłek, brnąć w świat Warlikowskiego, albo odrzucić go ze szczerem jako rojenia artystowskiego pięknoducha, który zrezygnował z dawnej formuły swego teatru, ale nie wiedział, czym ją zastąpić.

Wybieram bez wahania drugie rozwiązanie, bo nowy Warlikowski wydaje mi się konsekwentną kontynuacją tych jego rzeczy, które ceniłem najbardziej – „Kruma”, „Aniołów w Ameryce”.

Mówi się wprost ze sceny, że nie ma sensu szukać w „Końcu” logiki, bo oto zaproszeni zostaliśmy do świata, który z realnym niewiele ma wspólnego. Jesteśmy we śnie reżysera, śnie zaludnianym przez postaci z „Procesu” Kafki, „Nickel Stuff” Koltęsa, „Elizabeth Costello” Coet-



W aktorach nie ma chęci podobania się publiczności – Maja Ostaszewska i Maciej Stuhr w scenie z „Końca”

zeego. Jest to sen człowieka, który już dawno przestał myśleć o sobie, że jest młody. Dlatego mało go obchodzi widok za oknami, zdecydowanie bardziej zaś to wszystko, co dzieje się w nim samym. To uczciwe podejście. Nawet w projektowanym pod Isabelle Huppert „Tramwaju” Warlikowski ukrył się pod postacią Blanche. Tym razem mówi wprost: to o mnie. Ja jestem K., Costello, Tony ze scenariusza Koltęsa.

Umieszcza swoją opowieść ze snu w znanych, sterylnych, ale i prostych dekoracjach Małgorzaty Szcześniak, niezbyt odległych od tych, które przez lata tworzyły pejzaż jego teatru. Ale pozwala jej tym razem niemal na wszystko, za nic mając reguły budowania napięcia. Zatem ów niespokojny sen rozpycha się bezceremonialnie, zagarniając i widzów. Znajdujemy się we wnętrzu sennej mary, koszmaru, który zdaje się nie mieć końca, a tylko chorobliwe nawroty, zapętlenia, powtórzeń. Nie jest nam z tym wygodnie, bo i być nie może, ale Warlikowskiemu w to graj. Chce, byśmy wraz z nim stracili wszelkie punkty oparcia w tym, co jest stałe, przewidywalne, bezpieczne.

Tym bardziej że zstępując w głąb własnych obsesji, otwiera niecodzienną dziś w teatrze perspektywę. „Koniec” mówi o końcu i tym, co po nim. O lęku przed ostatecznym wkradającym się w codzienną egzystencję. Tak patrząc, Warlikowski portretuje nie Józefa K., Tony’ego czy wybitną pisarkę od Coetzeego, ale dzisiejszych everymanów, ludzi bez własności, tak samo bezradnych wobec nieuchronności. Fakt, że reżyser opowiada o tym także we własnym imieniu, czyni widowisko jeszcze bardziej przejmującym.

W stylistyce z sennego koszmaru świetnie odnajdują się aktorzy rezygnujący z mocnych efektów na rzecz grania służebnego wobec całości, celowo rozmywając swoje osobowości. Wiele tu nawiązań do poprzednich ich ról u Warlikowskiego. Stanisława Celińska i Jacek Poniedziałek znów jak w „Hamlecie” i „Krumie” są synem i córką i łatwo dostrzec w ich relacji rzadką w teatrze czułość. Maciej Stuhr brnie w środek jaźni Józefa K., czyniąc zeń neurastenika skazanego na porażkę w walce z własnymi upiorami. Znakomity jest niemal nieschodzący ze sceny Marek Kalita w wielu rolach, z których najmocniej w pa-

mięć zapada strażnik strzegący przejścia na drugą stronę w „Elizabeth Costello”. Ją zaś gra doskonale Ewa Dałkowska, dając teatrowi Warlikowskiego nową barwę – suchej i lakonicznej rzeczowości.

Powie ktoś, że z Krzysztofa Warlikowskiego wyszedł egocentryk bezwstydnie stawiający samego siebie w centrum scenicznego świata. Przypomnę tylko, że podobne zarzuty stawiano choćby Jerzemu Grzegorzewskiemu. W dodatku nie idzie tutaj o schlebianie samemu sobie, ale – za przeproszeniem – eschatologię. A jeśli dodać do tego bezbrzeżny smutek „Końca”, smutek, do którego trzeba dojrzeć, wszelkie zarzuty muszą się wydać mało istotne.



„Koniec” na podstawie tekstów Franza Kafki, Bernarda-Marie Koltęsa, J.M. Coetzeego, reżyseria Krzysztof Warlikowski, adaptacja Krzysztof Warlikowski, Piotr Gruszczyński, scenografia Małgorzata Szcześniak, muzyka Paweł Mykietyn, Paweł Bomert, Paweł Stankiewicz, Nowy Teatr w Warszawie